



Stefan Żeromski - Ludzi bezdomni, część 5.

Nasz doktor powoli daje się pochłonać atmosferze uzdrowiska. Modnie się ubiera, jest towarzyski, wszyscy obdarzają go szacunkiem. Jesienią szpital przepełniają dzieci z czworaków, chore na malarię. Pewnego dnia pani Niewadzka proponuje Tomaszowi założenie małego szpitala w starej piekarni. A to z myślą o pannie Joannie Podborskiej, która miałyby się zajmować – jak to się wyraziła Niewadzka – „brudasami”. To sformułowanie nie podoba się Judymowi.

U Węglichowskiego, dyrektora ośrodka, spotyka się miejscowa elita, m.in. Judym, proboszcz, kilku pacjentów. Niestety Judym nie może z nimi znaleźć wspólnego języka. Doktor – przed planowaną na luty kontrolą komisji rewizyjnej – proponuje Węglichowskiemu osuszenie stawów pełnych brudnej wody. Ten nie zgadza się na to. Dyrektor i administrator ośrodka odnoszą się do młodego doktora z niechęcią.

Nic dziwnego. Młodzi zawsze muszą przedzierać się ze swoimi ideami przez starych konformistów. Żeromski zrobił z doktora romantycznego buntownika indywidualistę, który idzie pod prąd. Modernistyczna powieść, romantyczny bohater. To jasne. Ale temat pozytywistyczny...?

Jest kwiecień. Judym idzie z wizytą do chorych. Spotyka Joannę Podborską. Ta informuje, że Natalia, do której smalił cholewy, wbrew babci wyszła za mąż i uciekła.

- Cóż to za eskapada, panno Joanno? Skąd pani wraca?

- Jak pan widzi... Z podróży

- Widzę, widzę nawet, że podróż musiała być daleka:

Furmań zatrzymał konie. Przez chwilę panna Joanna skubała w zakłopotaniu brzeg okrywki. Na jej „niemożliwie”, jak mówiono, prawdopodobnej twarzy malowało się usiłowanie zatajenia czegoś. Rumieniec rozpałał się na policzkach. Rzekła cicho:

- Jeździłam do spowiedzi... do Woli Zameckiej

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Aż do Woli? I dlaczegoż nocą? Niechże pani drugi raz tego nie robi. Któż widział?... Deszcz pada, chłód w nocy, pani cała zmoknięta. Proszę mi darować, że wchodzę nieproszony ze swą interwencją, ale jako lekarz uważam sobie za obowiązek zrobić tę uwagę.

Tymczasem robił ją z pobudek bynajmniej nie lekarskich. Serce mu biło w piersiach. Ta twarz ze spuszczoneymi oczami w głębi zielonego kaptura, przepyszne, rozrzucone włosy, wysuwające się na czoło a szczególnie oczy, oczy i płomień rumieńca... Było to jakby urok dziwnego lasu, jakby się łączyło ze słońcem, które zza mgieł wypływało nad cichą, senną leśną głąszą. Judym stał bezradnie przy stopniach bryczki i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w płochliwe rysy.

- E proszę łaski panienki, cóż ta ukrywać przed panem, przed doktorem... - rzekł znienacka furman odwracając się bokiem. - My nie do spowiedzi, proszę pana doktora, jeździli z panienką.

- Felek! - krzyknęła panna Podborska.

- Jeżeli sobie pani nie życzy... - rzekł Judym uchylając kapelusza. - Nie chciałbym zrobić najmniejszej przykrości.

- No, przecie się ta rzecz nie ukryje, choćby my na głowie stanęli. Już i tak ludzie mielią jęzorami... - prawił Felek.

- Cóż takiego?

- My jeździli, proszę pana doktora, szukać jaśnie panienki, panny Natalii.

- Jak to szukać? - szepnął Judym ze zdumieniem. - Jak to szukać?

Zamiast odpowiedzi panna Joanna zerwała się szybko i wysiadła z bryczki. Twarz jej była udręczona. Całe ciało trzęsło się jak w febrze. Dała Judymowi znać oczyma, że chce mu całą prawdę powiedzieć, ale nie wobec furmana. Odeszli kilka kroków drogą w górę. Felek zrozumiał swą rolę i wstrząsnął z lekka lejcami. Konie ruszyły i noga za nogą, wolniuteńko zstępowały ze wzgórza. Stukanie kół bryczki o korzenie sosen i świerków przerywających drogę zagłuszało rozmowę.

- Natałka - mówiła panna Joanna - odjechała z domu bez wiedzy babki.

- Czy sama?

- Nie.

- Z panem Karbowskim?

- Tak... z panem, z panem... Karbowskim. Mówiła otulając się zarzutką, jakby ją przejmowało dręczące zimno.

- Biedna babunia... Tak strasznie nad tym cierpi. Poszła zaraz na grób pana Januarego i leżała w kaplicy krzyżem. Nie wiedzieliśmy... nie wiedzieliśmy, gdzie jest. Taki popłoch!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- No, a skądże wiadomo?

- Pan Worszewicz powziął skądś wiadomość jeszcze wczoraj, że Natałka odjechała do Woli Zameckiej. Nie mogę zrozumieć, skąd to mógł wiedzieć. To taki bystry człowiek... Domyślił się, że wezmą ślub w tym właśnie kościele, w Woli. Jest tam ksiądz, jakiś, podobno, niesympatyczny. I rzeczywiście... Zgodził się dać ślub. Widać na tej podstawie babunia wysłała mnie wczoraj na noc. Pojechałam niezwłocznie. Pędziliśmy co koń skoczy, ale wszystko na nic. Istotnie tam ślub wzięli. Gdym przyjechała, już było po wszystkim: wyjechali. Kazali powiedzieć, gdyby się ktoś dopytywał, że jadą wprost za granicę.

- Proszę pani, to było... Może było do przewidzenia, nie to właśnie, ale coś w tym rodzaju.

- Ach, panie doktorze! Cóż za rola moja w tej całej sprawie

- Rola pani?

- Byłam jej nauczycielką, mentorką, niby powiernicą. Ja domyślałam się, ja nawet wiedziałam o tej miłości. Nie cierpiałam tego pana i widać dlatego sądziłam, że cały afekt minie. Teraz każdy może powiedzieć, że to zapewne mój wpływ. Każdy może to powiedzieć i, niestety, będzie nawet miał słuszość. Ja często rozmawiałam z Natałką o tym, że są w małżeństwie bez miłości rzeczy potworne, które mnie przejmują wzgardą, że nie powinna, że nie powinna nigdy w życiu... Któż mógł przewidzieć, że ona tak to zrozumie!

- Niech się pani uspokoi. Na pannę Natalię tego rodzaju dyskusje małe wywarły wrażenie. To była natura samodzielna, śmiała, bezwzględna.

- O, tak, bezwzględna. W liście do babki, który wiozę, zaznaczyła wyraźnie, że majątek swój złożony w banku, majątek swój osobisty, odziedziczony po matce, podniesie w całości, gdyż jako pełnoletnia ma do tego prawo. Tak napisała do tej babuni... „Jako pełnoletnia”...

- Czy to duży majątek?

- Podobno bardzo znaczny.

- Będzie miał pan Karbowski przez czas pewien co puszczać.

Panna Joanna stanęła, jakby sobie coś przypomniała. Rzuciła na Judyma oczami pełnymi blasku i jakby chytróci.

- Ale ja mówię to wszystko i ani mi na myśl nie przyjdzie, jaką to panu musi sprawiać przykrość...

- Mnie? przykrość?

- Ach, przecież... Przecież to i pan kochał się w Natalce... Przepraszam pana bardzo...

- Ja? - rzekł Judym - ja się kochałem?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Niech mi pan wierzy, że nie przez złość mówiłam to wszystko!

- Próżno by mię pani żałowała, bo nie czuję się wcale zmartwiony. Daję pani na to słowo uczciwego człowieka, że nie kocham się w pannie Natalii. Nie, nie! - zawołał z radością w głosie i oczach - nie kocham się w niej wcale!

To przeczące wyznanie było niby ostatni dźwięk rozmowy. Do dna ją wyczerpało.

Szli jeszcze obok siebie kilkadziesiąt kroków w milczeniu, po prostu nie będąc w możliwości mówić więcej. Panna Joanna przyspieszyła kroku i rzekła:

- Muszę już jechać.

Judym odprowadził ją do bryczki.

Gdy mu podawała rękę, miała na twarzy wyraz jakiejś bolesnej trwogi, niby człowiek, który siłą przeczuć coś dostrzega, czego zmysły objąć jeszcze nie mogą. Judym patrzył na nią szerokimi oczyma. Gdy jej pomagał wskoczyć na stopień bryczki, która zatrzymała się wśród błotnistej drogi, i uczuł ciało jej przy sobie, prawie w objęciach, miał jakieś cudne złudzenie.

Któż by uwierzył, że to ta sama, ona, że to zapach jej włosów? Widział w niej dotąd siostrę-człowieka, rozum i serce, istotę ze swej dziedziny, z tego kręgu, gdzie o jedno nic, wysokie a niezrozumiałe dla motłochu egoistów, kłopotą się bez wytchnienia i trudzą z radością braterskie duchy. I oto szalał ze szczęścia: ona nie tylko taka! Iście czartowskie marzenie jak wąż ślizgało się po jego piersiach. Tak z nim było, jakby kolor jej włosów, jakby ich nikły zapach na wieki stał się jego własnością.

Jakaś bolesna troska i niewysłowiona czułość przystąpiła do serca, jakaś omglona litość niby kwiaty pachnąca. Było to obce duchowi i budziło swym przyjściem podziw i zadumanie.

Bryczka oddaliła się i znikła na zakręcie.

Judym wtedy uczuł, jak serce jego ściska się i drży. Stał na brzegu lasu i wyrzucał sobie z okrucieństwem czemu nie rozmawiał dłużej.

Tyle jeszcze trzeba było powiedzieć, tyle rzeczy niezmiernie ważnych! Każde ze słów, które teraz z mroku się wysuwały, miało przedwieczny swój byt, swój jakiś własny kształt, swój sens i miejsce, treść i logiczne znaczenie, jak ton w symfonii niezbędny, konieczny, doskonale umieszczony: W każdym z nich były zamknięte całe obszary, całe jakby okolice wiosenne, gdzie mokre pola wonieją i wysokie drzewa szeleszczą.

Leniwym krokiem włókł się w swoją stronę, ku wsi stojącej na drugiej stronie doliny. Gdy był u szczytu wzgórza, słońce wydierało się z chmur nad odległymi lasami. Dusza Judyma szła ku temu światłu jak olbrzym, którego barki dosięgają nieba.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Zatrzymał się na dawnym miejscu i wśród błotnistej drogi ujrzał ślady małych trzewików panny Joasi. Wzrok jego padał na te foremne wyżłobienia w piasku i w zachwycającej wizji oglądał stopy, które tych miejsc dotknęły. Widział ciało wysmukłe, subtelnie piękne, budzące nieopisaną rozkosz, które się nad nimi przemknęło.

Zamknąwszy oczy patrzył w głębinę swej duszy.

W tej chwili schyliła się ku niemu cicha wiedza, wesoły szept męczącej zagadki, rozstrzygnięcie trudnego pytania, proste jak czysta prawda. Powitał je radosnym śmiechem:

„Ależ tak! Rozumie się! Przecie to jest moja żona”.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl